DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

ROK III. 15. LISTOPADA 1927. № 20.



PRZED 200 LATY.

W szerokiej izbie Witkowickiego dworu warczały kołowrotki, trzaskał ogień w kominku i pieśni dziewczęce dzwoniły jasną, radosną nutą. Za oknami wiatr huczał, gięły się drzewa w ciemności, gałęzie łamały się z hałasem jakby rwane ręką upiorów jakichś w ten zimny, listopadowy wieczór. Od wsi dochodziło wściekłe ujadanie psów, któremu odpowiadały z podwórza dworskie brytany.

Oj ta dana, ta dana
Panieneczko kochana
Naczerpałam ja wody
Przyjdzie rycerz na gody — oj ta dana!

ZA 200 LAT.

Jesienny zmierzch.

W salonie na miękkim fotelu siedziała zamyślona panienka, a jej delikatny profil rysował się na tle szarego nieba.

Czy to była napewno młoda osoba? Nikt na to odpowiedzieć nie mógł, bo strój podlotków nie różnił się niczem od stroju wiekowych pań, a fryzura „à la coq" stosowana była we wszystkich epokach życia.

Było już zbyt ciemno na to, by dostrzec szczegóły jej stroju, ale każdy mógł powiedzieć z zamkniętemi oczyma, że jej zgrabne nóżki napewno robiły furorę pończochami z włókna szklanego o kościstym odcieniu, a nowomodne „stopokrywki",

Nastusia siedziała na zydelku przed krosienkami i oparłszy bródkę o ramę, patrzała przed siebie. Blask ognia oświecał jasnym konturem jej małą główkę ze spuszczonemi warkoczami, wyciągnięte przed siebie ręce i pochyloną postać.

Przy niej, w półkole, siedziały panny respektowe i dziewki dworskie, każda przy kołowrotku lub nad robotą pochylona; pieśni szły, migały igiełki, furczały wrzeciona.

„O czem to panienka tak myśli?“ spytała nagle Haneczka, nachylając się do Nastusi.

„A co, robota nie idzie?“ rzuciła przechodząc olbrzymia, pulchna panna Eufemja. Zadzwoniła pękami kluczy, pogładziła pochylone główki i znikła w bocznych drzwiach.

„Ciekawam, co powie Andrzejek?“ rzekła Nastusia i umilkła znowu.

Oj ta dana-ta dana,
Panieneczko kochana...

Przecież już czas przyszłość zobaczyć — przecież ona już nie małem dzieckiem, na 16-tkę jej idzie. Coby ona dała, by odsłonić choć trochę rąbek kryjący w wielkiej tajemnicy jej losy za rok, dwa lata...

Czy zawsze siedzieć będzie tu, w Witkowickiej świetlicy, wśród dziewek roześmianych nad białemi krosnami?

Oj ta dana ta dana —
Przyjdzie rycerzyk młody — oj ta dana...

Ale godziny mijały. Stary gdański zegar, na półce stojący, wygdakał 8 godzinę, panienki złożyły roboty.

Po wieczerzy miano lać wosk.

Pan cześnik, podając ramię żonie, ruszył do świetlicy, a za nim tłocząc się trochę, wpadła Nastusia i panienki respektowne, potem zjawiła się panna Eufemja, zdjąwszy fartuch z okazji uroczystości i trzynastoletni Jędrek, łobuz niemożliwy, ale jedyna nadzieja i przyszłość Witkowickiego dworu.

Wniesiono wielką cynową misę pełną wody. Przy misie leżało łuczywo i wielki kawał pszczelnego wosku; ale wróżby zacząć miano od czego innego. Panienki zzuły trzewiczki z prawej nóżki i cofnąwszy się do kominka, ustawiły je rzędem jeden po drugim od kominka przez izbę w kierunku drzwi. Jędrek obserwował cały ten obrzęd, podpierając ścianę. Teraz zaczęło przestawiać buciki; właścicielka bucika, będącego na końcu od ściany, przeniosła swój trzewiczek na początek szeregu, który w ten sposób posunął się o jedno miejsce. Chodziło o to, czyj bucik pierwszy przestąpi próg i która pierwsza wesele będzie miała; gorączkowo, pospiesznie wędrowały ku progowi atłasowe trzewiczki.

Oj tam Kaśka — pisnął nagle Jędrek z pod ściany — nie szachruj-ta, bo cię Pan Bóg skarze.

— Cicho bądź, nie właź gdzie cię nie potrzeba, odfuknęła zaczerwieniona Kasia.

Zaległa chwila milczenia, poczem rozległ się radosny głos Nastusi. —

— O Jezu — dyć mój. — Zaróżowiona z radości podniosła w górę trzewiczek, tamte chmurne obuwały się, ale prędko śmiech powrócił znowu, bo nie można się długo smucić, gdy są ma szesnaście lat.

Teraz wróżono z talerza. Pod zwykłemi fajansowemi talerzami pochowane były

---

przytrzymywane na ażurowych paskach, uwydatniały całą kształtność jej nóżki.

W salonie było chłodno.

Panienka podniosła się, by nacisnąć sprężynę od kondensatora ciepła słonecznego, gdy nagle rozległ się w salonie wesoły głos:

— Czy Fifa jest w domu?

Fifa podbiegła do aparatu, a nastawiwszy kliszę radjofotografji, otrzymała w tejże chwili obraz roześmianej twarzy swej serdecznej przyjaciółki.

— Jak się masz, Pufa? Widzę, że jesteś w dobrym humorze!

— Oczywiście! Dziś „Andrzejki“, więc cieszę się na wróżby. Czy zechcesz przyjść do mnie, bo zaprosiłam już kilka innych osób?

Trzeba zaznaczyć, że słowo „przyjść“ było archaizmem, przeżytkiem z tych czasów, kiedy uprawiano tak nieestetyczne rzeczy jak tańce i tak niehigjeniczne zwyczaje, jak podawanie ręki. Dziś nikt już nie fatygował się chodzić na wizyty, choć wy-

nalazek samolotów jednoosobowych ułatwiał ogromnie przenoszenie się z miejsca na miejsce. „Przyjść“ w znaczeniu nowożytnem — to nastawić fale radjowe w ten sposób, by dana osoba mogła wszystko widzieć, co się dzieje w innym określonym punkcie i by ona była również widzianą.

Fifa zgodziła się chętnie i naznaczono spotkanie za pół godziny.

Przez ten czas należało poprawić toaletę, gdyż włosy ułożone według mody „à la coq“ trzymały się tylko przy pomocy odpowiednio umieszczonych ziarnek magnetycznych, a te nieraz spadały, zdradziecko opuszczając kunsztowną fryzurę. Powtóre trzeba było umieścić artystycznie fosforyzującą grę świateł na twarzy, gdyż ordynarny karmin i prostaczy puder oddawna był w zapomnieniu,

Po ukończonej toalecie podeszła Fifa do łamanego lustra, gdzie mogła widzieć swą figurę ze wszystkich stron, a przekonawszy się o swojej piękności, usiadła w fotelu naprzeciw aparatu i za-

różańce, rutki i pierścionki. Panienki miały wybierać.

— Oj Maryś, Maryś — ksienią zostaniesz, śmiał się Jędrek aż do łez. —

— A ty kapelanem — odpowiedziała z miejsca Maryś z różańcem w ręku. — Ale Nastka co wyciągnie? Nastusia pobladła ze wzruszenia nachyliła się nad talerzami. Jej siwe oczy biegały od jednego talerza do drugiego, brwi zbiegły się razem z uwagi. — Kilka już razy wyciągnęła rączkę i cofnęła znowu z niezdecydowaniem. —

— No Nastusiu, raz, dwa, trzy, djabeł nie wyskoczy, wołał rozbawiony Pan Cześnik — wolno Nastusia odchyliła talerz patrząc, czy rutka nie zawróży jej staropanieństwa — ale odetchnęła z ulgą. Pod talerzem leżał pierścionek z obwarzanka. —

— Szczęście mam! krzyknęła, podskakując w górę i uderzając trzewiczkiem o trzewik.

— No — prędko się nie zanosi przy takim rezonie, zauważyła Pani Cześnikowa. Ale Nastusia przypadła do niej i pokrywając pocałunkami jej pogodną twarz, wołała —

— Właśnie, że jestem poważna, jestem. tylko — i roześmiała się jak dziecko. Ale teraz nastąpiła najważniejsza część wróżby. Lano wosk. — Kilkanaście jasnych i ciemnych główek pochyliło się razem nad wielką cynową misą, kilkanaście par oczu śledziło z natężeniem gorące krople padające na wodę. —

O... O... Hanusi ryba się ulała, za rybaka pójdziesz — a Marysi krata — ładnie się zanosi — ksieni, ani chybić.

— A mnie co? rzekł Jędrek.

— Tobie? — Chłopcy na koniec czekają — zresztą co może wyjść takiemu malcowi jak ty. Chyba flaszka z mlekiem.

Jędrek zaczerwienił się z oburzenia, a słowa zamarły mu w ustach — że z trudnością wykrztusił.

— A wam, wam się straszydła na wodzie pokażą, boście od nich nie piękniejsze.

Oj, z Jędrkiem się nie zadawajcie — rzekła Nastusia, śmiejąc się, bo komplementów nie usłyszycie. Ej, Jędrek, że też żartować z tobą nie można — przecież ona się tylko śmiała. Zobaczysz jak ci szabla i harmata wyjdzie z wosku. —

— Nastka, Nastka, wołano na nią z grona, teraz ty lejesz, chodźże prędzej. Nastusia prędko podbiegła do wody i wzięła w rękę garnuszek z woskiem. — Pierwsze krople padły i rozprysły się w zetknięciu z zimną powierzchnią wody. —

— Śmiało Nastka, wołały panny. —

Dziewczątko przechyliło szybko garnuszek, płynna, żółta masa wlała się w wodę tężejąc w fantastyczną niekształtną bryłę. Pan Cześnik i Jejmość Pani nachylili się, by widzieć wróżbę. —

— Koń nie koń — co to za dziw. —

— Rycerz konno krzyknęła Ewunia; głowę daję, że rycerz, ino patrzeć jak wali w kopyta.

— Rację ma — potwierdził Cześnik — tu głowa, a tu łeb koński — burka mu się w pędzie podniosła i karabelę ma przu boku.

Ale rozstrzygać o wróżbach miała prawo jedna panna Eufemja, od wielu już lat uważana była pod tym względem za wyrocznię, a co do andrzejków uprawiała istny monopol. Teraz stała skupiona sta-

rając się odgadnąć tajemnicze znaki, wreszcie rzekła, cedząc każde słowo, jakby dla dodania im większej wagi.

— Ta pałka, to zwyczajna jedynka. Który się pierwszy zjawi w Witkowickim dworze, ten Nastusi mąż. —

No cóż, Nastusiu – zjawi się rycerzyk po ciebie? — spytał się ojciec. Dziewczyna zarumieniła się po uszy i chowając twarzyczkę w ramię Ewuni, chichotała zawstydzona.

Nie skończyli nawet rozmowy, gdy psy poczęły wściekle ujadać przed bramą, a bryczka czyjaś zaturkotała przed gankiem. —

— Oho — rycerz po Nastusię, zawołał Jędrek — a w niej serce zabiło jak w ptaku. Po nią — po nią. — Trzy wróżby dzisiaj przepowiedziały jej zamęzcie. — Trzy wróżby mówiły jej o tym, który zjawić się ma po nią, by wziąć ją sobie na całe życie. Czy Nastusi źle było w Witkowickim dworze? Ach nie, ale młodości potrzebne są sny i marzenia tak, jak dzieciom potrzebne są zabawki. — Przyszłość nęciła ją jak bańka mydlana, której wziąć w ręce nie można choć świeci kolorami tęczy. A teraz oto o spóźnionej porze w sam dzień Andrzejków tętni bryczka w dziedzińcu — a ochmistrzyni mówiła: „pierwszy, który się zjawi — to Nastusin mąż!“

Wszyscy patrzeli na nią, a jej krew uciekła z policzków. — Czy aby ojciec pozwoli?

W sieni dały się słyszeć męskie głosy. Pan Cześnik wyszedł witać, w świetlicy dziewczęta zaprzestały wróżb i stały zbite w gromadkę. — Po chwili wolno skrzypiące drzwi otworzyły się na oścież i nowoprzybyły wszedł do komnaty. Ale wtedy stało się coś dziwnego. Pierwszy Jędrek, który wyforał się naturalnie najbliżej wejścia i wyciągał obstrzyżoną głowę by lepiej ujrzeć przyszłego „dziewierza“[1]), zemknął nagle w kąt świetlicy, rozpychając się przez dziewczęta i przycupnąwszy za niemi zatknął pięść w usta i począł trząść się tak spazmatycznie, że chude

tonęła w marzeniach, przypatrując się przygotowaniom czynionym w pokoju Pufy.

Pufa, ubrana według ostatniej mody, nastawiała właśnie aparat sequo-fotografji, aby otrzymywać kolejno portrety wszystkich ludzi, przesuwających się po ulicach miast całego świata.

Los wskaże na tego, przy którego portrecie odezwie się dzwonek, wywołany skrzyżowaniem się fal, płynących od jego aparatu, z falami obserwatorjum.

Godzina oznaczona nadeszła.

Postacie wszystkich gości spotkały się na olbrzymiej kliszy w pokoju Pufy. Po radosnem powitaniu rozpoczęły się wróżby.

Fifa była pierwsza, dla której szukano odpowiedzi losu.

Na białej ścianie przesuwały się sylwetki z najludniejszej dzielnicy miasta stołecznego. Sunęli ubodzy i bogaci, starzy i młodzi, szły panie i panowie ubrani strojnie i bogato, całe fale ludzi,

jego plecy drgały pod żupanikiem. Panny respektowne obróciły się ku sobie zagryzając wargi, zaś w kątach świetlicy wybuchnął tłumiony, cichy, niepowstrzymany śmiech.

Do izby wtoczył się majestatycznie opasły, łysy jegomość w ciemnych futrach podróżnych i w juchtowych butach, a czerwona twarz jego wyrażała najgłębsze zdumienie. Krągłe jego oczy mrużyły się trochę w świetle łuczyw, zaciskał pięści, przestępował z nogi na nogę, wreszcie rzekł zwracając się do gospodarza —

— Ach przepraszam, zapomniałem, że wy pewnie tu świętujecie; jestem Kurkiewicz. Kłaniał się w prawo i lewo kołpaczkiem futrzanym, nie wiedząc, gdzie się obrócić. —

— Proszę tędy, tędy mówił gospodarz popychając delikatnie gościa w kierunku drzwi od alkierza. — Gdy znikli razem z panem Cześnikiem w przylegającej komnatce, panienki podbiegły ku Nastusi.

— Ale ci się udał jegomość — tęgi rycerz, niema co gadać. —

— Oj źle się zanosi, jęknęła z tyłu panna Eufemja. Prawie równocześnie trzynaście dziewczęcych główek zwróciło się

[1]) Dzisiaj szwagier.

fale płynące ulicami bez przerwy, jakby z jakiegoś niewyczerpanego źródła w ocean nieskończony.

Nagle rozległ się dzwonek.

Pufa zatrzymała aparat. Na ścianie pozostała nieruchoma sylwetka młodego człowieka ze zwiniętemi skrzydłami samolotu przytwierdzonego na plecach. Twarzy nie można było dostrzec, gdyż była zwrócona w przeciwną stronę, ale cała postawa uderzała swoją zgrabnością i wytwornem ułożeniem.

— Pufa, cofnij aparat! — zawołała Fifa.

Pufa spełniła jej życzenie, chcąc w ten sposób otrzymać po raz drugi sylwetki tych samych osób, ale niestety tłum płynął, a postać młodego człowieka zniknęła bezpowrotnie.

Rozpoczęto wróżby dla innych.

Czasem dzwonek radjowy odzywał się nad jakąś damą w podeszłym wieku, a wtedy ogólny wybuch śmiechu oznajmiał wyrok „staro-panieństwa“, zapadający nad wyczekującem wróżby sercem.

ku niej... oj źle rzekła — co wróżba to wróżba — pewnikiem się tu w alkierzu o naszą Nastkę naradzają. Zdaje się, że znam tego człeka. Z okolic on dalekich i czasem tu zjeżdza. — Jak pan rodzic się zgodzą oj, Nastka będzie płakała.

— Ależ on nie dla mnie przyjechał! — zawołała Nastka przerażona.

— Co ty dziecko wiesz — odpowiedziała stara, wzruszając ramionami. Tobie jeszcze rezeda w głowie kwitnie i eksperymentu nijakiego nie masz — ale ja pókim na świecie — nie widziałam, aby się wróżby andrzejkowe nie sprawdziły. —

— No cicho, Nastka, nie kwil, może się ta z nim zgodzicie, ale co wróżba to wróżba. Rodzic pewnikiem cię zmusi. Serdecznym ruchem pogładziła złotą Nastusiną główkę, ucałowała posmutniałe oczy i oddaliła się, podzwaniając kluczami.

Dziewczyna uciekła do swego pokoiku, by pomyśleć nad przyszłym losem.

Przed nią na małym stoliku, stało wielkie staroświeckie zwierciadło w ciemnych ramach. Ze sczerniałej tafli wyjrzała ku niej twarz drobniutka i oczy dziecinne prawie pod prostemi brwiami — dwa jasne warkocze spuszczały się po bokach tej g.ówki, jak płynne strugi topionego złota — Oj dana, dana. — Oj Nastusiu...

Z za ściany po przez belkowanie drewniane dochodził odgłos rozmowy. — Radzą i radzą — mogliby już skończyć. — Jak zrobić by mu się nie spodobać. — Żem ładna, to ładna, myślała, niczego. —

Oj ta dana, ta dana, Nastusieńko kochana
Przyjdzie rycerz na gody
Naczerpałam ja wody — oj ta dana.

Nie — stawię mu się — żeby się niewiedzieć co działo, nie dam się rzekła stanowczo i zbiegła pędem do świetlicy.

Jeszcze z dobrą godzinę naradzał się pan Cześnik z „rycerzem“. Nastusia droczyła się z Jędrkiem, żartowała z pannami, przymilała się klucznicy, ale co chwilę patrzała ku drzwiom, czy się też nie otwierają.

Oj Nastusiu...

Wreszcie! narady skończone. Do jasnej świetlicy wtacza się promieniejący szczęściem otyły szlachcic — za nim pan ojciec równie wesoły i uśmiechnięty.

— Może się Waćpan chwilkę zatrzyma prosi Cześnik — ot delicyj wielkich u nas niema, ale dziewki jak kozy, mile człeku wieczór zejdzie.

„Rycerz“ rozparł się na ławie. Łysina jego połyskiwała w świetle, że jeno oczy mrużyć, a on uśmiechał się błogo. —

— Ot dzierlatki, mówił — która to panna Nastusia? winszować, winszować, uroda gładka, buzia jak słodkie jabłuszko.

— Dla wszystkich — może, mówi Nastka rezolutnie, dla Waćpana są jabłka kwaśne jak ocet.

„Rycerz“ patrzył na nią wybałuszonemi, zdziwionemi oczkami. — Cześnik trąca córkę niezadowolony.

— Nastka, bój się Boga, upomina przerażona matka. — „Rycerz“ absolutnie nie rozumie, o co chodzi. — Usadowił się obok dziewczątka i zdaje się przeżuwać w umyśle jej słowa, zapytując samego siebie, co może chcieć od niego to jasnowłose stworzonko o czupurnej mince. —

— Czy się panna Nastusia gniewa? — spytał dobrodusznie. —

Proste brwi Nastusi marszczą się tro-

chę nad oczyma. — Wiem na coś Waćpan do Witkowic przybył — mówi prędko...

— Wie Waćpanna? podchwycił uradowany szlachcic — ah gładko nam umowy poszły, pan Cześnik na wszystko się zgodził. —

Tego było Nastusi za dużo. Szybko zerwała się z zydelka i zasłaniając twarz rękoma, z głośnym płaczem uciekła z świetlicy...

— Co jej się dzieje? spytał Cześnik z niepokojem. —

Pani matka wybiegła za nią do pokoiku i zastała ją z główką wtuloną w poduszkę, aż dygocącą od płaczu. —

— Nastka, Nastka, la Boga, uspokój się. —

— Nie chcę — wołała Nastusia, nie pójdę, nigdy nie pojadę. —

— Nastusiu, chodź przynajmniej do świetlicy, przeproś acana, dyć on dyryguje majątkiem kasztelanica, rozgada, co o tobie będą mówić w okolicy. —

Ale żadna siła ludzka nie byłaby zmusiła Nastki do wyjścia za próg pokoiku, gdyby sam pan Cześnik nie był się zjawił w uchylonych drzwiach. —

— Do krocset-stutysięcy, co Waćpanna za facesyje wyprawiasz! — zawołał.

Dziewczynka zerwała się na równe nogi. Ojciec był dla niej zwykle dobry, ot jak ojciec, ale bała się go jak ognia. Przestała płakać. oczy wytarła rękawem i wróciła do świetlicy ze spuszczoną główką. —

— Przeproś mi zaraz acana, rzekł ojciec.

Nastusia ujęła paluszkami końce fartuszka i dygnęła, patrząc w przeciwny kąt izby.

— Bardzo przepraszam.

Stary Kurkiewicz mieszał się coraz bardziej.

W ogrodzie Witkowickim nie istniały nigdy pomidory mogące iść w parze z rumieńcami „Rycerza“. — Wstał szybko, chwycił Nastusiną rączkę i bełkotał.

— Przecież ja się nie gniewam nic a nic, wcale nie — i tak szczęśliw jestem, żeśmy chwała Bogu, z panem Cześnikiem tak zgodnie dobili umowy o te cielaki.— Ale teraz jechać muszę — śpieszno mi, żona czeka. —

— Jakie cielaki... zawołała Nastka, wstając jak za pociśnięciem sprężyny...

I wszystko byłoby się szczęśliwie zakończyło, gdyby nie ten Jędrek. — Ale Jędrek musiał zawsze wszystko usłyszeć i z wszystkich dudka wystrychnąć i musiał jak na złość stanąć sobie przy samej Nastusi. — Oto w najtragiczniejszej chwili ten gałgan Jędrek wyskoczył jak fryga w powietrze, uderzył obcasem o obcas, klasnął w ręce i ryknął tak nieludzkim śmiechem, że gdyby pułap w świetlicy

Może czasem łza spłynęła z rozmarzonych oczu — lecz klisze radjowe milczą o tem...

Gdy już wszystkie ujrzały uchylony rąbek swojej przyszłości, Pufa zamknęła aparat sequo-fotografji i poczęstowała gości zamówionym poprzednio podwieczorkiem.

Nadawcza stacja elektro-atomji przysyłała z błyskawiczną szybkością miljardy elektro-atomów poszczególnych pierwiastków, a te miljardy łączyły się ze sobą przy pomocy odpowiednich katalizatorów w najwykwintniejsze potrawy i cukry.

Przy orzeźwiającym posiłku toczyła się wesoła rozmowa, a ciche akordy dochodzące właśnie z koncertu w Chicago, rzucały tło nastrojowe na to zebranie wieczorne.

* * *

Zakończenie koncertu stało się hasłem pożegnalnem. Jeszcze kilka słów serdecznego podziękowania — a Fifa znalazła się sama w swoim cichym salonie. Siedziała dalej zamyślona, zatopiona w marzeniach. Sylwetka młodego człowieka stanęła jej przed oczyma. Prawda, czy nieprawda? Naturalnie, że prosty przypadek, nic innego — przypadek, który uderzył tylko w najczulszą strunę jej istoty po to, by zadrwić z niej i przejść ponad nią do porządku dziennego! Na ustach Fify ukazał się uśmiech rozgoryczenia. Człowiek z całą swoją kulturą, cywilizacją, ze wszystkiemi wynalazkami idącemi ciągle naprzód od tysięcy lat — pyszniący się podbojem całego świata fizycznego i sił przy-

rody — ten człowiek staje jednak bezsilny wobec rozwiązania problemu przyszłości, choćby na przeciąg jednej sekundy. *A. Crucsy.*



...Prawda — czy nieprawda?

był tynkowany, sypałby się z pewnością gruz ludziom na głowę.

A za tym niemądrym Jędrkiem poszła najpierw Kasia, potem Ewka, potem Haneczka i inne — a za pannami Nastusia, a za Nastusią panna Eufemja. Pan Cześnik próbował się gniewać, ale po chwili i jego straszne wąsiska poczęły drgać rytmicznie, zmrużył oczy i zaniósł się szczerym, serdecznym, niepowstrzymanym śmiechem — tylko jeden „rycerz“ nie mógł się zorjentować, czemu jego cielaki wywołały tak ogólną radość.

Gdy wreszcie odjechał z Bogiem swoją trzęsącą bryczuszką w tę ciemną noc listopadową, fura oklasków powitała Nastusię. — Niech żyje Nastusin mąż — niech żyje. — Lecz ona zwróciła się do panny Eufemji.

— A wróżby co?

Panna Eufemja — pokiwała głową, zamyśliła się, wreszcie rzekła gniewnie, podzwaniając kluczami.

— Czy ja ci, dzierlatko, mówiłam o pierwszym, który dziś przyjedzie?

To może pierwszy, który się jutro zjawi — albo za miesiąc. — Czego się mnie Waćpanna czepiasz...

Oj te Andrzejki...

S. M. T.

SONET.

Odkąd znów padło w proch twe czoło dumne,
Na synów Twoich dziwna zeszła trwoga,
Ich wzrok bezmyślny widzi tylko trumnę,
Na której wsparła się zwycięzcy noga.

Oni nie wiedzą, że Ty prochom dziatek
Dziś posłuchanie dajesz tam u Boga —
I śmią narzekać, o najlepsza z matek!
Żeś porzuciła ich na pastwę wroga.

Lecz Ty wymową cichą, apostolską,
Ucz ludy zginać przed sobą kolana,
I bądź w błękitach tą harfą eolską,

Po której wichry głoszą Imię Pana!
Jasnym sztandarem duchów bądź, o Polsko!
Póki nie wstaniesz z prochu nieskalana!

Adam Asnyk.

W TRZYDZIESTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI.

W sierpniu b. r. upłynęło trzydzieści lat, od chwili gdy naród polski złożył na Skałce w Krakowie, do grobowca zasłużonych, zwłoki jednego ze swych najzasłużeńszych synów: Adama Asnyka, bojownika o wolność ziemi ojczystej, powstańca 63 r., poetę największego doby popowstaniowej, zasłużonego pracownika na niwie społeczno-oświatowej.

Imię jego powtarzane u świeżej mogiły z żalem głębokim i czcią i my tą samą czcią otaczać dziś winniśmy, przekazując je młodszemu pokoleniu.

Rodzina Asnyków pochodziła z Ziemi Mińskiej, z zapadłej Pińszczyzny. Ojciec oficer wojsk polskich z czasów Królestwa Kongresowego, walczył za sprawę ojczystą w r. 1831.

Wzięty do niewoli pod Grochowem, zesłany na Syberję, spędził tam kilka lat. Po powrocie do kraju osiadł w Kaliszu, tam ożenił się z p. Konstancją Zagórowską i wbrew wszelkim starym szlacheckim przesądom, zabrał się do handlu. Otworzył w Kaliszu skład skór i w krótkim stosunkowo czasie dorobił się znacznego majątku. Miał własny dom, hotel, a nieco później dla szerzenia książki polskiej założył księgarnię.

Żona, kobieta bardzo wykształcona rozmiłowana w muzyce i poezji, zajętą była głównie wychowaniem ukochanego jedynaka, któremu na chrzcie św. dano podwójne imię Prota Adama.

O ile jednak czas pozwalał, brał i pan Asnyk udział w wychowaniu syna. Zwracając uwagę przeważnie na fizyczną stronę z obawy by nie został niewieściuchem. Uczył go więc mustry wojskowej, lecz wątły i słaby z natury chłopak, nie lubił męczących ćwiczeń. Kochał ojca, zachwycała go marsowa postawa oficera wojsk polskich, słuchał z przejęciem opowiadań o walkach i cierpieniach ojcowskich, ale matki dobroć, jej uprzejmość, łagodność w obejściu się ze wszystkimi pociągały serce dziecka. Lgnął do muzyki i poezji, które ona kochała i z zapałem przykładał się do nauki, której mu początkowo udzielała.

W domu państwa Asnyków zbierali się ludzie światli, wykształceni i kochający kraj. Mały Adaś nad wiek swój rozwinięty, obcując wciąż ze starszymi, rozwijał się szybko i umysł jego wchłaniał wszelkie wiadomości, obce zazwyczaj jego rówieśnikom. A starsi mówili o rzeczach tak przeraźliwie strasznych jak o rzezi galicyjskiej r. 1846. Potem przyszedł r. 1848 i przyniósł wieść o Wiośnie Ludów. W Europie wrzało. Rewolucyjne hasła i walki echem odbijały się nad brzegami Prosny. Walczono tak blisko w Poznańskiem. Budziły się nadzieje w lepsze jutro.

A dziecko ciche, skupione, słuchało, czegoś się domyślało i w sercu jego budziły się silniejsze niż u innych dzieci uczucia.

Z zachwytem potem jak sam opowiadał, patrzał na Ukrzyżowanego Chrystusa i porównywał Jego cierpienia z cierpieniami Polski. Słowa: Polska, Wolność, Braterstwo Ludów, brzmiały mu w uszach jak cudowna muzyka. Pod wpływem tych uczuć zaczął pisać poezje patrjotyczno-religijne. Czytała je jedynie matka, cieszyły ją te drobne wierszyki, przechowywała je, nie chwaliła się niemi jednak przed nikim, a tembardziej do druku ich nie dawała. Dała natomiast synowi zdolnego i dobrego nauczyciela i w r. 1849, mając lat 11-cie Adaś został przyjęty do czwartej klasy szkoły realnej.

Nauki szły mu dobrze, nadewszystko pilnie przykładał się do matematyki i przyrody. Z tego czasu zachował się jeden jego wierszyk, napisany na imieniny kierownika pensjonatu w Kaliszu. Oprócz tego drobnego utworu w tece pośmiertnej poety, znalazły się jeszcze dwa niewielkie wiersze z doby szkolnej, prawdopodobnie przechowane przez matkę.

Przechodząc z klasy do klasy zawsze z nagrodą, Adam Asnyk w r. 1855, mając 17 lat zdał egzamin dojrzałości i uzyskał tak zwany wówczas patent.

Za młody, by móc wstąpić do wyższego zakładu, rok cały spędził w domu rodziców i korzystając z księgarni ojcowskiej czytał i uzupełniał swą wiedzę. — Idąc za wolą ojca wbrew własnym zamiłowaniom, wstąpił do szkoły rolniczej w Marymoncie. Praca jednak na roli nie okazała się odpowiednią dla niego, wyczerpywała mu siły. Wrócił więc do domu i otoczony troskliwą opieką matki, leczył się i pisał sam poezje.

W roku 1857 wyjechał do Warszawy i wstąpił tam do Akademji chirurgiczno-medycznej. Poezję zaniechał zupełnie, pochłonęła go praca naukowa i społeczna. Wraz z najbliższymi kolegami rozpoczął pracę, w tajnych organizacjach patrjotycznych. Powstało stowarzyszenie mające za zadanie, podnieść wiedzę młodzieży akademickiej, budzić w niej ducha patrjotycznego oraz moralne i estetyczne pojęcia. Na czele tego kółka stanęli Adam Asnyk, Jan Kurzyma, Władysław Jaśniewski i Stanisław Krzemiński. Założono czytelnię i sprowadzono do niej książki z zagranicy.

Władze rosyjskie zadecydowały, że wszelkie stowarzyszenia akademickie mają być rozwiązane. W odpowiedzi na to młodzież zażądała zwolnienia z akademji. Asnyk wyjechał do Wrocławia i tam w dalszym ciągu studjował medycynę. Do Warszawy dokąd już się poprzednio przenieśli jego rodzice, wrócił dopiero w r. 1860.

Wrzało tu już, odbywały się nabożeństwa i manifestacje narodowe, więzienia zapełniała gorętsza młodzież i Asnyk pięć tygodni przesiedział w cytadeli. Zwolniony, ulegając woli rodziców, których ostrzeżono, że syn ich ponownie ma być aresztowany, wyjechał zagranicę. — Podróżował trochę, był w Londynie, kilka miesięcy spędził w Paryżu, gdzie już o nim wiedziano, jako o dzielnym pracowniku społecznym. Rodacy witali go wszędzie serdecznie. Uprzejmość jego, wykształcenie i wyrobienie towarzyskie przy ujmującej powierzchowności, jednały mu przyjaciół. Poznał się tu z Bohdanem Zaleskim, Aleksandrem Gostkowskim i Karolem Belińskim. Słuchał czytania ich utworów, sam jednak nie zdradził się przed nikim, że jest również poetą. Może wrodzona nieśmiałość, lub przeświadczenie, że to co dotąd napisał, nie jest jeszcze tak wartościowem, jakby on tego pragnął, powstrzymywało go od pokazania obcym swych poetyckich prac.

Pragnąc zdobyć jaknajwięcej wiedzy ścisłej, by móc w przyszłości pożytecznie służyć krajowi, przeniósł się z Paryża do Heidelberga na wydział prawny, a przeważnie na nauki społeczne.

Przyszedł bowiem do przekonania, że Polska potrzebuje bardziej pracowników i społecznych działaczy, niż lekarzy.

Były to jednak lata, w których Polak o sercu gorącem, nie mógł gdzieś zdala od kraju siedzieć nad książką i uczyć się spokojnie.

Wszak tam ponad Wisłą szła walka o wolność, lała się krew najszlachetniejszej młodzieży.

Wrócił więc Asnyk do kraju i zaraz stanął do walki.

Był jakiś czas jednym z członków Rządu Narodowego, po objęciu zaś dyktatury przez Traugutta, wyruszył z bronią w ręku przeciw wrogowi. Po rozbiciu oddziału, w którym walczył, znękany widokiem klęski ojczyzny opuścił kraj w r. 1863. „Co się dzieje w duszy człowieka, po takim rozbiorze kraju, pisał potem w swej autobjografji, człowieka, który brał czynny udział w jego ratunku... straszne... to jest tak straszne, że mówić o tem nie można.

Ostatni raz przechodziłem granicę w nocy pieszo pod Dub... Potem oparłem się aż we Włoszech z chorym na tyfus przyjacielem. Byłem długie tygodnie w szpitalu. Pielęgnowałem go. Konał powolnie. Musiałem na to konanie patrzeć. Nie miał nikogo. Ja jeden byłem do ostatka. Straszne wieści przychodziły jedne po drugich, a kiedym ocknął się już było po wszystkiem“.

Rok spędzony we Włoszech, piękno

natury i olśniewający na każdym kroku artyzm sztuki kojąco oddziałały na jego zbolałą duszę. Wrócił do Heidelberga do rozpoczętej pracy i poezji i w grudniu 1864 Dziennik Literacki we Lwowie drukuje jego pierwszy wiersz p. t. „Podróżni". potem poszły inne i gdy w r. 1867 po ukończeniu studjów naukowych przybył z tytułem doktora filozofji do Lwowa, powitano go tam jako najwybitniejszego poetę swej epoki. Każdy wiersz El-ego, taki był jego pseudonim, witano z zachwytem. Podziwiano świeżość uczuć i myśl głęboką, oraz piękną i wytworną formę jego poezji.

(Dok. nast.) *Marja Reuttówna.*

NOWY ŚWIATEK.

Zamiast rozkosznego koncertu ptasząt, obudził nazajutrz Bożenkę prostacki śmiech kucharki:

— Wielmożny pan się dziwi, że mi masło już wyszło... ha, ha! Jak to zaraz można poznać, że pan nie rozumie się na kuchni...

— Ale wiem dobrze, moja Kasiu, że ta ilość masła wystarczała nam za rządów pani, calutki tydzień — brzmiała spokojna odpowiedź pana Gralińskiego.

— A komuż to, proszę — podniesiony głos Kasi drgał oburzeniem — zachciało się onegdaj na obiad ptysiów, a na kolację — kalafiorów? Jedno i drugie potrzebuje przecież moc masła! A kurczęta, com je wczoraj państwu na drogę usmażyła — to nic? Gdzieżby nasza pani na takie zbytki pozwoliła!

Bożence żal się zrobiło ojca, bezradnego wobec tego potoku słów Kasi, który zakończył się groźbą:

— Jeżeli ja panu nie dogadzam, to mogę każdej chwili odejść!

Słuchaczkę dreszcz chwycił. Co byłoby w takim razie. Ona nie ma najlżejszego pojęcia o „garnkologji", pomimo, że matuś nieraz ją do tego zachęcała... A przecież mnóstwo jej koleżanek znało już sztukę kulinarną.

Już chciała się ubierać, gdy przybiegł do niej w podskokach Zbyszek, a wywijając pończoszką, rzekł przymilnie:

— Siostrzyczko, popatrz: ot tutaj zrobiła się dziura! Zaceruj mi ją prędziutko, bo tatuś tego nie potrafi.

Dziewczynkę ukłół wyrzut sumienia: wczoraj, gdy chodziło o przyjemność — wyprzedziła koleżanki w rannem wstawaniu. — Dziś natomiast, spała najdłużej ze wszystkich, niepomna, że tryb życia domowego płynął zawsze z regularnością zegara.

Ubrała się chyżo, spełniła prośbę Zbyszka, lecz coraz większy smutek nękał jej duszę. Bo też wszędzie, w każdym pokoju i w każdym kąciku, brak było troskliwej, dbającej o każdy szczegół ręki pani domu. Zapodział się kędyś od wczoraj ów pełen estetycznego ładu i poezji ton, przenikający stale wnętrze ich mieszkania.

Bożenka ścierpła na samo przypuszczenie, iż nieobecność matki mogłaby przeciągnąć się dłuższy czas... Zajęła się dorywczem uporządkowaniem pokojów, gdyż po śniadaniu mieli znów we trójkę pospieszyć do lecznicy.

Wprowadzono tam gości do umeblowanej szablonowo poczekalni, gdzie zjawił się wkrótce ordynator zakładowy.

Słuszny, elegancko ubrany jegomość, denerwował Bożenkę świdrującem spojrzeniem czarnych, jak węgiel źrenic. Podając rękę panu Grelińskiemu. oznajmił:

— U pacjentki zaszło w nocy pogorszenie. Chciałbym zawezwać na konsyljum profesora Wrońskiego, znanego specjalistę chorób sercowych.

Ciemne płatki zawirowały przed oczyma Bożenki, w uszach taki odczuła szum, że na pół świadomie podchwyciła niemi

dalsze słowa lekarza, oraz stanowczą odpowiedź ojca:

— Tylko nie wiem, czy szanowny pan może ponieść takie koszta...

— Dla ratowania żony, gotów jestem, panie konsyljarzu, zadłużyć się choćby po uszy!

Dziewczę zachwiało się i byłoby upadło, gdyby ktoś nie był jej w porę podtrzymał. Zemdlała.

Obudziwszy się na jakiejś sofie, zobaczyła, że skroń jej wyciera mokrym ręcznikiem pielęgniarka, która przyniosła wczoraj Haneczkę do chrztu. Siostra Aniela zwróciła się teraz do niej z łagodną wymówką.

— Jakżeż można tak się byle czem przejmować! Narada lekarska — to przecież zwyczajna rzecz...

A pan Greliński. całując blade czoło córki, dodał krzepiąco:

— W Bogu nadzieja, duszko, że wszystko minie szczęśliwie!

Spojrzawszy na zegarek oznajmił:

— Muszę przed konsyljum wstąpić koniecznie do biura. Ty zaś, Bożenko, wracaj ze Zbyszkiem do domu.

Dziewczę milczało. Nie miało bynajmniej ochoty znaleźć się teraz, z trawiącym ją niepokojem, w pustem mieszkaniu...

Wtem siostra Aniela, jakby odczuwając, co się w duszy Bożenki dzieje, poddała z dobrodusznym uśmiechem:

— Może panienka złoży wizytkę swojej chrześniaczce? Zaprowadzę panienkę i jej braciszka do pani Lucyny.

To mówiąc, ujęła osłabioną jeszcze Bożenkę pod ramię, skinęła wesoło na wystraszonego tą sceną Zbyszka i poszła z nimi do domku, który widniał opodal wśród zieleni ogrodów.

Zastali panią Lucynę Lerską w sieniach, zajętą wydawaniem rozkazów gromadce dziewcząt w białych fartuszkach. Goście stanęli na uboczu tak, że Bożenka mogła przypatrzeć się jej dokładnie.

Pierwsze wrażenie, jakie na niej pani Lucyna sprawiła, sympatycznem nie było. Średniego wzrostu, o twarzy smagłej, pociągłej, o zarysowanych mocno łukach brwi, pod któremi lśniły ciemne, chmurne oczy. Nie wiedziało jeszcze dziewczę, że odbijają się w nich wspomnienia bolesnych chwil... Z wąskich ust padały słowa krótkie, zwięzłe, stanowcze.

Wtem pani Lucyna, zobaczywszy Bożenkę, uśmiechnęła się do niej. Dziewczę się zdumiało. Co za uśmiech... co za uśmiech promienny, czarujący! Jak gdyby gwiazdy, ukryte poza chmurą jej oczu — prześwietliły twarz całą wyrazem słonecznej pogody...

Siostra Aniela, mrugnąwszy znacząco okiem, rzekła:

— Przyprowadziłam tu pannę Grelińską, która pragnie zobaczyć swą maleńką siostrzyczkę,

Resztę dopowiedział doświadczonym oczom pani Lucyny smutek, malujący się na twarzy młodego gościa. Uścisnęła Bożenie rękę, i zwróciwszy się do jednej z dziewcząt, rzekła krótko:

— Panno Juljo! Proszę zaprowadzić tę panienkę do łóżeczka dwunastego.

Siostra Aniela zwróciła się tymczasem do Zbyszka:

— A my pójdziemy sobie do starszych dzieci, z któremi będzie pyszna zabawa... dobrze?

Malcowi zaiskrzyły się radością oczy. Chwycił rękę pielęgniarki i w odpowiedzi pociągnął ją ku wyjściu.

Bożenka znalazła się wkrótce w jasnej, przewiewnej salce, pełnej białych łóżeczek, w których spały lub kwiliły cichutko niemowlęta. Wisząca nad każdem łóżeczkiem tablica, podawała imię i nazwisko dziecka, dzień jego urodzin, oraz przebieg rozwoju fizycznego. Niektóre z uczenic zajęte były przewijaniem maleństw, bądź też ich sztucznem karmieniem.

Dłuższą chwilę spędziło dziewczę przy swej siostrzyczce. Jakkolwiek twarzyczka małej wydała się jej dzisiaj bielszą już i gładszą, Bożenka szepnęła znowu:

— Brzydulka!

— Każde maleństwo bywa w pierwszych dniach brzydkie — pocieszała ją panna Julja. — Ale zwolna, zwolna, dziecina staje się coraz ładniejsza.

Pozwolono gościowi przypatrywać się

kąpaniu Haneczki. Dziewczę, podziwiając zwinność i delikatność, z jaką panna Julja czynność tę spełniała, wyznało szczerze:

— Nie odważyłabym się za nic w świecie, kąpać takiej drobiny z obawy, ażebym jej nie uraziła...

— To nic nadzwyczajnego! — brzmiała wesoła odpowiedź. — Jedna, dwie próby — wystarczą.

Zaprowadzono później Bożenkę do siedziby nieco starszych dzieciaków. Owiała ją tu atmosfera pogodnego spokoju: nie było słychać krzyku, płaczu, grymasów. Jedne z malców bawiły się przykładnie w łóżeczkach, inne, czepiając się rączkami kwadratowych „kojców", wprawiały się w sztuce chodzenia.

Zaróżowiona twarzyczka Bożenki i blask fiołkowych źrenic, świadczyły wymownie o wielkiem zainteresowaniu się jej tym zakładem. Zwiedziła z kolei szpitalik, zajrzała do pralni i kuchni, wreszcie wysłuchała uważnie wykładu lekarki zakładowej o pielęgnowaniu niemowląt, przeznaczonego dla najnowszych uczenic.

Pani Lucyna, przystąpiwszy do niej, spytała:

— Cóż podoba się panience moja „szkoła — model"?

— Śliczna! — odrzekło dziewczę spłonione. I przezwyciężając nieśmiałość, zagadnęła ciekawie:

— Ale dlaczego jest to „szkoła — model"?

Twarz pani Lucyny znów przemiły rozjaśnił uśmiech.

— Dlatego, moje dziecko, iż pragnę gorąco, ażeby szkółki tego typu po całej rozmnożyły się Polsce. W każdem mieście, miasteczku, w każdej wiosce! Umiejętność obchodzenia się z takim drobiazgiem — to przecież niezmiernie ważna dla dorastających dziewcząt rzecz! Zrozumiała to już dawno zagranica...

Pani Lucyna urwała, jak gdyby męczyło ją dłuższe mówienie. Po chwili dorzuciła z nagłym smutkiem:

— Polska, jest jeszcze pod tym względem ogromnie zacofana. Mój Boże! Aż zgroza pomyśleć, wiele u nas takich piskląt ginie, dla braku należytej nad niemi opieki!...

Bożenka słuchała, zapierając oddech. Wrażliwa jej dusza zaczynała pojmować teraz i odczuwać ogrom znaczenia takiej pracy dla przyszłości kraju, pracy, prowadzonej w zaciszu, zdala od mrowiska ludzkiego. Zaczynała też rozumieć, że istnieją w życiu cele głębsze i wyższe, ponad laury malarskie, zaszczyty...

Z refleksyj tych obudziły ją słowa siostry Anieli:

— Pan Greliński czeka na panienkę w kancelarji szkolnej.

Zamigotały oczy Bożenki lękiem, usiłując czerpać otuchę w pogodnym uśmiechu sanitarjuszki. I wyraz twarzy pana Grelińskiego zwiastował dobrą wiadomość.

— Dziękujmy Bogu, Bożenko! — powiedział wesoło. — Konsyljum orzekło, że matka odzyska niebawem zdrowie.

Wydało się dziewczynce, iż światłość słoneczna zalała wnętrze mrocznego dotychczas pokoju...

— Ach! Zobaczę wreszcie mamusię! — zawołała uszczęśliwiona.

— Jeszcze nie dzisiaj, duszko! Lekarze obawiają się dla niej najlżejszych wzruszeń.

Zegar ścienny zaczął wydzwaniać południe.

— Mogłabyś zatem powrócić dziś jeszcze na kolonję, Bożenko! — zaproponował jej pan Greliński.

— To wykluczone, tatusiu! — odpowiedziała stanowczo, z odcieniem urazy. Więc ojciec uważa ją za egoistkę, która nie byłaby skłonną poświęcić dla rodziny kilkutygodniowych wakacyj?

A on, patrząc jej w oczy, zapytał szczerze zdziwiony:

— Może ci tam źle było?

— Przeciwnie, bawiłam się doskonale! Lecz teraz nie opuszczę za nic w świecie tatusia i Zbyszka.

Wczorajszy jej bunt przechodził zwolna w cichą rezygnację.

— A czem dni sobie wypełnisz, duszko? Toż mamy teraz wakacje!

— Nieobecność mamusi nasuwa mi

przecież moc zajęć domowych — twierdziło dziewczę spokojnie. — Pozatem uproszę panią Lucynę, ażeby przyjęła mnie za uczenicę do pielęgnowania naszej Haneczki.

Pan Greliński uścisnął córkę serdecznie.

— Spieszę teraz do biura — powiedział. — I wrócę o zwykłej porze na obiad do domu.

— A ja odszukam Zbyszka.

II.

Bożenka zeszła do pięknego ogrodu, skąd dochodził ją odgłos srebrnych śmiechów dziecięcych. Oczy przyszłej artystki ujrzały z daleka śliczny obrazek, malowany w słońcu. Grono dziatwy z przedszkola, w białych sukienkach, błękitną zdobnych wstążką, bawiło się na obszernym trawniku, przy wtórze wesołych piosenek.



(Dok. nast.) *Wisława.*

NIE DLATEGO.

Nie dlatego kocham życie,
Że mam mało doświadczenia,
A jak zwykle to mówicie:
Z wiekiem się nań pogląd zmienia.

Nie dlatego jam wesoła,
Że o smutku nie wiem mrokach.
Albo widzę świat dokoła
W samych blaskach i urokach.

Nie dlatego! Wiem ja o tem,
Ile bólu, łez na świecie,
Że trza nieraz ciężkim młotem
Kuć swą dolę... Toć wiem przecie!...

Grzechy, dusze w upodleniu...
Zrozumienia brak, wdzięczności...
Wiem, że nie jest, jak w marzeniu...
I — dlatego trwam w radości!...

I dlatego chcę uśmiechy
Nagromadzić, by zło świata
Nie mroczyło mojej strzechy,
Aby jasna była chata.

Mimo zwątpień — wierzę skrycie,
Mej radości nic nie zmienia. —
Nie dlatego kocham życie,
Że mam mało doświadczenia!...

Alina Kwiecińska.

JARMARK W MAŁEM MIASTECZKU.

Motto:

Niechajże jarmark się czyni,
Niech mierzy łokieć i ćwierć...
My chodźmy do pustki — świątyni
Rozważać życie i śmierć.

Władysław Orkan.

Od wczorajszego wieczoru, przez całą noc, wloką się z różnych osiedli, na wozach suto ładowanych towarem, który połykać będą oczy ciekawych, zaopatrzonych w pieniądze.

W pamięci obliczają spodziewane zyski.

Gościńcem zoranym bruzdami wjeżdżają w rynek — zachłanni i przygotowani.

Z wozów zdejmują podróżne, składane stragany,rozstawiają je na ziemi z biegłością, nabytą przez kilkuletnią praktykę jarmarczną.

Z zamkniętych skrzyń, wyświechtanych tobołów i słomianych koszyków wyciągają cały dobytek.

Szkielety straganów przyoblekają się w ciało.

Powstaje w swoistym stylu mięszanina barw, form i wartości, zamknięta w czworobok banalnych kamienic o dawno niemytych oknach i przeciętnych wywieszkach sklepowych.



Jarmark w miasteczku.

Rzadko kiedy zamiatana platforma rynku małego miasteczka zapełnia się wzbierającą falą ludzkich głów, a czworobok rynku rozpada się automatycznie na działy i działki, zależnie od charakteru sprzedawanego towaru.

W powietrzu rośnie akord głosów, przechodzący wszystkie rodzaje taniej dynamiki muzycznej.

Właściciele przygodnych składów zachwalają swój towar starając się przekrzyczeć w superlatywach.

Jakiś pomysłowy przekupień, włożywszy na głowę, zaimprowizowaną czapkę z żółtego papieru, stara się przyciągnąć przechodniów dobrocią sprzedawanych słodyczy.

Vis à vis rozłożyła się bibljoteka jarmarczna w kilkunastu tomikach, których zawartość odczytuje w celach reklamowych, kobieta z dzieckiem na ręku.

Wysłużona katarynka przegrywa wszystkie możliwe walce, polki i melodje narodowe.

W takt tej muzyki tańczą ceny towarów, wirują zawrotne rachunki. Cyfry lecą, opadają w miarę gry, ustawiony wzdłuż chodnika rząd koni, wyczekujących powrotu, zaczyna się niecierpliwić.

W pokątnych knajpach banalnych kamienic o dawno niemytych oknach i przeciętnych wywieszkach sklepowych, zapełniają się stoły kuflami piwa wizując jarmarczne finale.

Powoli rozbiega się ludzkie mrowisko głów.

Wozy i konie czekają na właściwe przeznaczenie.

Na rynku małego miasteczka pozostają sterty niezamiecionego śmiecia.

Życie zamiera na cały tydzień.

W czworoboku rynkowym nastaje cisza, którą wchłaniają fasady banalnych kamienic o dawno

niemytych oknach i przeciętnych wywieszkach sklepowych.

— — — — — — — — —

Błogosławiona ta cisza, która po rozgwarze powszedniego dnia, nastaje w duszy człowieka, zmęczonego życiem targowiska, gdzie stragan kłamanych uczuć nie znalazł w nim nabywcy.

Błogosławiona ta cisza pustki — świątyni, w której po rozgwarze powszedniego dnia, tak dobrze jest rozważać życie i śmierć.

Jerzy Soplica.

OSTATNI DZIEŃ.

Przebiegam w zamyśleniu
Ogrodu ścieżki kręte —
Na klombach zżółkłe astry
I floksy powiędnięte...

Posępne, brudne chmury
Przegania wicher w górze —
Od wczorajszego deszczu
Na ziemi lśnią kałuże.

Żałosne czyjeś śpiewy
Przynosi echo zdala —
Serce me nagłym smutkiem
Boleśnie się rozżala...

I słyszę jak topole
Rozwodzą się żałośnie
O lecie, co odeszło,
O zaginionej wiośnie...

O tem, że czas odjechać,
Czas wracać w trudy nowe.
Choć zapał mam do pracy —
Pochylam w smutku głowę...

Bo żalem nieuchwytnym
Me serce dziś przejęte...
Na klombach zżółkłe astry
I floksy powiędnięte...

Alina Kwiecińska.

ABY BYĆ ŁADNĄ...

Wystarczy wyjść na półgodzinny spacer w południowych godzinach, by ujrzeć całe szeregi „pięknych twarzyczek“ o dziwnych, karminowych (a czasem „fiołkowych“) rumieńcach, z rozszerzoną, lśniącą źrenicą, odbijającą na „delikatnej“ bieli całości...

„De gustibus non est disputandum“... i trochę niebezpiecznie jest zadzierać z wymownym rodzajem Ewy — ale czy naprawdę piękna w swem mniemaniu, umalowana misternie (a czasem i bardzo „niemisternie“) dama, jest przedmiotem ogólnego podziwu — to wolę zaliczyć tę kwestję „ad res incertas“.

Zapytajmy raczej natury, co ona na takie samowolne rządy człowieka odpowie!

Oto skóra, pod warstwą kosmetyków, marszczy się i żółknie, o ile nie ulega gorszym jeszcze skutkom sztucznych pudrów i barwików, które zawierają zwykle składniki metaliczne, bardzo dla niej szkodliwe...

Kto sobie raz zepsuł cerę, musi potem — albo nakładać coraz bardziej szminek — albo zrezygnowawszy z nich, doprowadzić racjonalnemi zabiegami hygieny skórę do normalnego porządku.

Najmniej szkodliwym, bo nie działającym chemicznie na skórę, jest puder naturalny, ryżowy.

A lśniące tajemniczo oczy? po pewnym czasie, wskutek paraliżującego działania atropiny, beladonny i t. p. stracą zdol-

ność przystosowywania się do światła o różnem natężeniu, o ile wogóle „osoba o magnetycznych oczach“ nie straci całkiem wzroku przez trujące działanie tych alkaloidów.

No — a perfumy? w tem chyba nic szkodliwego niema, i dla estetycznej przyjemności można ich bezkarnie używać? ależ owszem, owszem — byle nie zanadto, bo perfumy zbyt silnie drażnią system nerwowy, sprowadzając często niepokój, odurzenie, ból głowy — po pewnym czasie przytępiają powonienie.

Jeśli kto jeszcze pierwszego wdzięku świeżej cery nie postradał, lub zdolności malarskich i floty na szminki, beladonny i bella-wonie nie posiada — temu najlepiej do utrzymania wdzięku świeżości posłuży chłodna woda z lekko alkalicznem mydłem. Przy skórze tłustej dobre jest mydło bardziej alkaliczne, przy nazbyt wrażliwej — glicerynowe lub migdałowe — ale niechże się szczupłe, delikatne panienki w ażurowych bieliznach nie boją zbytnio zimnej wody — nie lodowatej — bo ta naprawdę nie jest ogólnie zbyt zdrowa, ale takiej poczciwej pokojowej wody. Nieraz, dla uniknięcia chwilowego uczucia chłodu, woli się wodę dobrze ciepłą — ale wrażenie ciepła, jakie ona sprawia, mija szybko, a skóra wydelikacona za lada podmuchem wiatru sprawia swej lekko ubranej właścicielce niemiłe i nieestetyczne katary, chrypki i coraz mniej poetyczne — bo pospolite „kreski“...

Utrzymywanie skóry w czystości — to najlepszy środek do zachowania jej długo w świeżości i zabezpieczenia się przeciw niejednej chorobie płuc i systemu nerwowego...

A teraz — przeczytawszy to wszystko, każda ma swobodę zastosowania się, lub nie, ale radzę pamiętać, że naturalny urok i wdzięk jest najpiękniejszy — i że natury pytać trzeba o jej prawidła — o ile je chcemy w czem ulepszać a także — że „tempora mutantur“, i nie wszystko, co dziś modne, lub co nam nasze „przyjaciółki od serca“ doradzają — jest naprawdę dobre i piękne...

Kochajmy piękno — ale prawdziwe — i trzeźwo. *M. Chr.*

KILKA DAT I REFLEKSYJ.

Walka o wolność gody się raz zaczyna,
Dziedzictwem przechodzi z krwią ojca na syna. *(Słowacki).*

Pasmem długiem, z pokolenia w pokolenie, ciągnie się zmaganie nasze. Krwawo znaczą się daty:

1794 — 1831 — 1863

Mamy je w sercu i w myśli, od dzieciństwa o nich uczymy się, czytamy, o niejednem prawi dziaduś stary, co to sam widział, przebolał...

I wiemy, że lała się krew, a niewoli nie było końca...

Wiemy, że przyszła później żmudna, szara praca, tajna, niepozorna, a „od podstaw“. — Przywarł naród do ziemi w mrówczym znoju, a w młode pokolenie ducha lał, by gotowe było, gdy zawezwie róg...

I minęły lata. Polała się znów krew polska po obcych rubieżach, za obce sprawy — aż przyszedł

1918 rok.

Zebrał się naród *w sobie* i wzajem *ze sobą*. Razem — kolejno — jak darzył Bóg — strząsała Polska jarzmo wroga. Z jednych kresów na drugie dążył brat bratu z pomocą, piędź po piędzi zdobywał, aż wyzbył się naród ciemiężców, odparł najezdcę — i stanął wolny!

A dzisiaj, co? — czy walka ustała? — czy spokój, bezpieczeństwo zapewnione? — Wiemy, że nie, że tylko punkt ciężkości zmagań przesunięty. Wróg nurtuje od

głębi, od podstaw, więc tam stawiać mu się trzeba. — Nauka, wydoskonalenie techniczne, wzmożenie zasobów materjalnych i sił fizycznych, to warunki powodzenia w tej walce konieczne, ale nie wystarczające.

Wróg do dna sięga, by wyżyny zwichnąć. Deprawuje młodzież, by łączność pokoleń zerwać, by ducha narodu zatruć.

Ale nad narodem, nad młodzieżą naszą, czuwa Bóg.

Może to nie przypadek, że miesiąc rocznic narodowych stawia nam przed oczy świetlaną postać ohłopczyny, co nieugięty stał wśród przeszkód i walk, bo *„do wyższych rzeczy stworzony“* wedle Bożego wejrzenia sprawy ziemskie rozpatrywał i zło od dobrego odróżnić umiał.

Pod opieką *świętego Stanisława* nie damy się wrogowi zwieźć!

Ręce ściągniem do pracy znojnej, gruntownej, wytrwałej, a serce wzniesiem do Boga, źródła prawdy i mocy.

N.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA.

Sejm i Senat, zwołane wedle Konstytucji w październiku, zebrały się na sesje dnia 3 listopada, lecz wnet po otwarciu odroczone zostały do 28. XI., a w tym właśnie dniu wygasają mandaty senatorów i posłów.

Wskutek tego okres przedwyborczy zaczyna się blisko o miesiąc wcześniej, niż być miało — wedle Konstytucji trwać on ma 90 dni, t. j. termin upłynąłby 26 lutego, a Nowy Sejm wedle Konstytucji zebrać się ma w trzeci wtorek po wyborach. Możliwe jest jednak naznaczenie wcześniejszego terminu, bądź przez orędzie Prezydenta, bądź uchwałę Sejmu i Senatu.

Polskie grupy zachowawcze wydały swe oświadczenie polityczne, podnosząc między innemi sprawami konieczność obwarowania wychowania religijnego w Polsce, oraz przodującego stanowiska Kościoła, który utrzymując pokój religijny, miałby moc konieczną, by w razie potrzeby, bronić praw swoich przed rozmaitemi wichrzeniami religijnemi.

Rezolucje Zjazdu Młodych Obozu Wielkiej Polski, który odbył się 30. X. w Warszawie, podnoszą między innymi konieczność pracy nad wzmocnieniem religijno-moralnem naszego narodu, widząc w tem warunek jego potęgi.

W partji „Piast“ zapowiada się rozłam, wskutek wystąpienia senatora Bojki przeciw Witosowi.

W Warszawie odbył się **Zjazd nauczycieli Szkół powszechnych.**

W Rumunji zanosi się na dobre, na walkę o tron między księciem Karolem, a jego małoletnim synem, Michałem, który objął tron po zmarłym dziadku, Ferdynandzie. Bratianu, rządzący obecnie Rumunją zamiast małoletniego Michała, ma ogromne znaczenie i władzę, jest przytem przeciwnikiem Karola z powodu jego polityki antyfrancuskiej. Co będzie dalej — zobaczymy.

5-ciolecie dojścia do władzy faszyzmu obchodzono teraz uroczyście we Włoszech.

Na wyspach Salomona wybuchła rewolucja krajowców przeciw Anglikom, którym rząd australijski wysłał okręty na odsiecz przeciw ludożercom, co pomalowani na wojenne barwy, zagrażają białym.

W Paryżu podpisano ostateczny protokół ustalenia granic między Polską a Czechosłowacją. Zostają więc teraz do ostatecznego uregulowania tylko granice: litewska, rumuńska i łotewska.

Kobiety w Radzie miejskiej. Wybory do Rady miejskiej wprowadziły w jej grono 3 kobiety w Łodzi, a jedną w Kielcach. W Anglji zaś po raz pierwszy wybrano na burmistrza kobietę, Miss Margaret Beavan, która otrzymała godność lordamajora miasta Liverpool.

Ważne odkrycie dokonane przez kobietę. *Dr. Marja Szczepańska*, asystentka Instytutu Muzykologicznego we Lwowie, odnalazła nieznany utwór z XV. wieku. — Jest to „Gloria" trzygłosowe, kompozycja niejakiej Duchny Jankowskiej. Tensam rękopis zawiera też dzieło najstarszego kompozytora polskiego, Mikołaja z Radomia.

Kandydatura p. Wilson na wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Prasa amerykańska, zwłaszcza kobieca, interesuje się obecnie żywo kwestją wystawienia kandydatury pani Wilson, żony byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, na wiceprezydenta tychże. Dzielna ta kobieta, szła zawsze ręka w rękę ze swym mężem w dziedzinie polityki.

Tysiąc modystek hiszpańskich, zorganizowanych w Sodalicji Marjańskiej, odbyło pielgrzymkę do cudownego obrazu Matki Boskiej w Pamplenie, zwiedzając też miejsce pamiętne z życia Św. Ignacego Loyoli. Zachowanie się ich i wygląd pełen prostoty i skromności, zrobił bardzo dobre wrażenie na mieszkańcach Pampleny, tak, że burmistrz tego miasta ofiarował modystkom sztandar, jako wyraz ogólnego szacunku. — Czy to nie pocieszające w dzjsiejszych czasach?

Matrjarchat. Etnologja w swym pięknym rozkwicie czasów obecnych słusznie może się chlubić odkryciem i zbadaniem wielu bardzo ciekawych instytucyj społecznych, zwłaszcza wśród ludów dość jeszcze nisko cywilizacyjnie stojących. Jedną z takich instytucyj jest matrjarchat w malajskiej osadzie Kota-Tua na Sumatrze. Osada ta zbudowana jest z dużych, porządnych domów, z których każdy zamieszkały jest nie przez poszczególne rodziny, lecz przez całe nieraz pokolenia ze sobą spokrewnione. — Dlaczego? Bo panujące tam prawo matrjarchatu nakazuje, by dzieci pozostawały na zawsze w domu matki. — Jeśli córka wyjdzie za mąż, albo syn się ożeni, pozostaje każde z nich nadal w domu swych matek, odwiedzając się tylko — jeśli mają dzieci — matka pracuje na ich utrzymanie — ojciec może im tylko dawać podarki. — Dzieci nie dziedziczą nic po ojcu, a pozostała po nim własność przechodzi na rzecz całej takiej gminy. Jeśli z biegiem czasu rodzina się rozrasta — przy domu matki, względnie babki czy prababki powstają coraz nowe przybudówki. Ogólnie głową rodziny jest najstarsza matka lub babka wszystkich mieszkających członków rodziny, a tylko do rozstrzygania sporów, które czasem, mimo spokojnego usposobienia Malajczyków wybuchają, wybierany jest mężczyzna z pośród członków rodziny.

Każdy wie dobrze, że Ameryka — to kraj, gdzie wszystko się robi na wielką skalę. — Oto parę cyfr, ilustrujących trochę ten ruch potężny. Stany Zjednoczone biją dziennie 60 miljonów znaczków pocztowych, wartości ogółem 1 i pół miljona dolarów — rocznie wynosi ta produkcja 450 miljonów dolarów — samej farby drukarskiej zużywa się na to 270 ton. Rocznie wypada na głowę ludności 100 znaczków pocztowych.

Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne wysłać ma w najbliższym czasie ekspedycję naukową pod kierunkiem prof. Kozłowa dla zbadania dorzeczy Jang-Ce-Kjanu, jednej z największych rzek świata. Trudności czekają tę ekspedycję ogromne — bo teren stawia wielkie przeszkody — np. trzy wąwozy 5000 metrów głębokie i t. p. wąwozów głębokich na parę tysięcy metrów ma płaskowyż Tybetu

całe mnóstwo i t. p. — Oczy uczonych świata zwrócone są z zainteresowaniem ku wysiłkom tej ekspedycji, która może przynieść nowe odkrycia z nieznanej dotąd fauny i flory dorzeczy Jang-Ce-Kjanu.

Kto pierwszy używał papierowych pieniędzy? Już w XIII. w. Mongołowie używali zamiast pieniędzy metalowych liści drzew morwowych, spreparowanych i ostemplowanych odpowiednio; — posługiwali się oni także pieniędzmi skórzanemi. — Moneta ta przeszła od Mongołów do Rosjan i dopiero w roku 1491 odkrycie potężnych pokładów złota i srebra w północnej Rosji, wprowadziło tam monetę metalową. Potem dopiero pojawiają się pieniądze papierowe w zachodniej Europie.

WŚRÓD KSIĄŻEK.

— **Władysław Reymont: „Pęknięty dzwon“.** (Lwów-Poznań 1927. Nakładem Wydawnictwa Polskiego). Z obrazków wojennych Reymonta, wydanych pod jednym symbolicznym tytułem „Pęknięty dzwon“, a krwią serdeczną i łzami pisanych, bije potężna groza minionej wojny, co przez kraj nasz przeleciała, śmierć siejąc i zniszczenie.

Trzeba było wielkiego talentu i wielkiego umiłowania, żeby poruszyć do głębi powojennego czytelnika, wstrząsnąć jego sercem, zakołatać do wspomnień, przypomnieć, że jest Polska, że oparła się nawałnicy wroga. że przetrwała i żywa, wolna, zwycięska jest w nas i dla nas.

W książce Reymonta znajdziemy swoje przeżycia, swoje zwątpienia i nadzieje, swoje nieszczęścia i radości — wszystko to, co przeżyliśmy podczas dnia sądu ostatecznego — wojny światowej.

Autor zamknął w kartkach książki miłujące Polskę i Polaków serce. Książkę jego trzeba sercem czytać. *Z. S.*

Nowe wydawnictwa Zjednoczenia Młodzieży Polskiej. Skład główny: Spółka Akcyjna „Ostoja“, Księgarnia i Drukarnia w Poznaniu, Pocztowa 15.

Marja Ojerzyńska: Powstanie listopadowe, program i mater jały do uroczystej wieczornicy 3·— zł

X. Paweł Wieczorek: Dobra córka, baśń ludowa uscenizowana w 7-miu obrazach; role żeńskie . . . . 3.— „

Klara Nowacka: W krainie baśni, fantazja sceniczna w trzech odsłonach na tle legendy o nocy świętojańskiej; role żeńskie 0·90 „

OD REDAKCJI.

No, nareszcie odezwała się **Irka Km...!** Po tamtym Twoim liście myślałam, że nastąpią wkrótce nowe, że zacznie się stała wymiana myśli — a tymczasem nic — aż nareszcie coś i to coś bardzo sympatycznego. Cieszę się, że kwestja pożytecznego zużywania wolnych chwilek tak Cię zainteresowała. Byłoby dobrze; abyś ją omówiła w gronie koleżanek i abyście notowały odpowiednie spostrzeżenia. To może być bardzo zajmujący materjał psychologiczny. Ciekawem byłoby n. p., czy więcej prze-

ciwniczek, czy zwolenniczek znajdzie twierdzenie: „gdy ręce zajętę, to i myśli łatwiej przepływają".

Majo — masz słuszność — kłamstwo każde jest obrazą Boga i poniżaniem godności człowieka. Nigdy się niem posługiwać nie powinniśmy. Napisz coś więcej o sobie.

Jutrzenko Swobody — Rycerko Chrystusa Króla, czy należysz do Krucjaty Eucharystycznej? — Jeśli tak, napisz coś więcej o tem przepięknem dziele. Umieszczę to w naszem pisemku, by więcej dziewczynek tem zainteresować. —

Cieszę się, żeś taka zapalona do pracy dla biednych dzieci, że tak serdecznie myślisz o „Gwiazdce" dla nich. Sądzę, że wszystkie nasze czytelniczki już dużo „niespodzianek" przygotowały, tak dla rodziny, domowników jak i dla tych nieszczęśliwych co to ni rodziny, ni domu nie mają, a jeśli nawet mają, to tak są biedni, że na przyjemności gwiazdkowe pozwolić sobie nie mogą. — Często nawet najkonieczniejszych do życia środków braknie... Takich biednych wszędzie dużo i najwięcej możnaby zrobić dobrego, gdyby każdy mający więcej, dzielił się z biednymi najbliższego otoczenia. — Mieszkający na wsi, niech się po swojej wsi, po swojej parafji rozejrzy. — Mieszkający w mieście, niech pozna biednych w tej samej mieszkających kamienicy, na tej samej ulicy. — Dzieci w szkołach organizują zwykle wspólną akcję pod przewodnictwem kierowników i kierowniczek szkół. Prawie każda szkoła ma takie „swoje" biedne rodziny, ochronki lub rozmaite instytucje dobroczynne, które wspiera stale, a sowiciej obdarowuje na Gwiazdkę.

Jeśli chcecie sprawić też Gwiazdkę dla biednych dzieci za pośrednictwem naszej redakcji to i owszem. Nadsyłajcie wasze dary: odzież, książki, zabawki, pieniądze, Zbierzemy to, posegregujemy, a następnie ogłosimy co się da z tego zrobić. — Ale trzeba się śpieszyć — bo już czasu mało.

Czarne Oczko — za liścik i za stanjol — dzięki. Bądź dalej tak „dobroczynną" — to i Tobie i misjom wyjdzie to na dobre!

Mira T. z Torunia i Dwójka niech podadzą swe nazwiska, adres, wiek, szkołę i klasę, do której uczęszczają. To warunek należenia do „Gawęd". Po otrzymaniu tych danych, które redakcja zachowa dyskretnie, podam wasze listy do wiadomości „Gawędziarek". — Nie bójcie się, nie zdradzę tajemnicy, a żwawe dysputy bardzo lubię.

Dla braku miejsca na inne listy odpowiem w następnym numerze, a teraz dodam jeszcze słówko do wszystkich czytelniczek, nawet tych co jeszcze nie pisują do redakcji.

„Dziś i Jutro" wydajemy dla Was, dziewczątka drogie i chcemy, aby się Wam podobało, abyście je lubiły i z niem się zżyły. Jednakże upodobania są bardzo rozmaite i trudno wszystkim dogodzić. — Prawie niema artykułu czy wiersza, o którym nie słyszałabym zdań sprzecznych. Trudno się w tem zorjentować, gdy bezładnie, dorywczo różne dezyderata nadchodzą.

Zróbcie więc tak:

Przejrzyjcie wszystkie numera „Dziś i Jutro" od 1-go Nru styczniowego 1927 r. począwszy. Przejrzyjcie, przypomnijcie sobie ich treść, a czego nie pamiętacie, to raz jeszcze przeczytajcie, ponotujcie co się Wam podoba, a potem wybierzcie:

5 najbardziej zajmujących artykułów poważnych;

5 najciekawszych nowelek lub powieści;

5 najładniejszych wierszy;

5 najładniejszych ilustracyj.

Spiszcie to i przyślijcie do redakcji, dodając, jeśli chcecie uwagę obszerniejszą czy i który dział pisma zdaniem waszem wartoby rozszerzyć, lub zmienić.

!!! T E L E G R A M !!!

OSTATNI KONKURS W TYM ROKU!

Temat: ozdoby choinkowe własnego pomysłu, wyrysowane tuszem, objaśnione odpowiednim tekstem. — Termin nadsyłania prac — 1. grudnia.

Nagród kilka!!!

Do wszystkich Czytelniczek „Dziś i Jutro"!

KTO CHCE ZDOBYĆ NAGRODĘ, niech się śpieszy z nadesłaniem rozwiązań (najpóźniej do 1. grudnia)! W tym numerze podajemy już ostatnie łamigłówki do konkursu tegorocznego; punkta liczymy za rozwiązanie łamigłówek, począwszy od Nru 8. Kto chce zdobyć pierwszą nagrodę, niech prześcignie innych w ilości dobrych rozwiązań! Nagród jest kilka. Nazwiska nagrodzonych zostaną ogłoszone w N-rze 22.

GAWĘDY PRZYJACIELSKIE.

(Rubryka ta zawiera swobodną wymianę myśli młodych czytelniczek (młodzieży uczącej się). Zwolenniczki jak i przeciwniczki zdań przedkładanych mogą tu głos zabierać. — Przy odpowiedziach należy podawać oprócz pseudonimu adresatki, także **numer** *listu, na który się odpowiada).*

392. Chochlik Alfa do Czytelniczek. W kolegjum Piusa X., przy zakładzie św. Olafa w Pniewach są chłopcy, którzy mają powołanie na misjonarzy. Są to chłopcy biedni, mali, ale bardzo dobrzy i kochani. Przygotowują się tutaj, by później pójść do jakichkolwiek Ojców i tam się dalej kształcić. Utrzymanie chłopców połączone jest z wielkiemi kosztami. Zaspakaja się główne potrzeby chłopców, ale o przyjemnościach dla nich myśleć już nie można. A jednak i oni są dziećmi i ich serduszka cieszyłyby się z niespodzianek. — Nadchodzą święta Bożego Narodzenia. Każda z Was znajdzie czule bijące serce, a u stóp drzewka podarek. A chłopcy, oni napewno tego mieć nie będą. Lecz my możemy temu zaradzić. Niech każda z Was złoży jakąś drobnostkę, jużto książkę, zeszyt, blok, pióro, ołówek, inna może coś z odzieży lub bielizny, a inna jeszcze kilka groszy. Zbierzcie to i przysyłajcie do Pniew, dla chłopców, którzy w przyszłości walczyć będą za wiarę, hen, w dzikich krajach. Oni dużo cierpieć będą, osłodźmy więc im chwile dzieciństwa. Niech przez ręce Wasze spłynie do kolegjum promyk szczęścia, co rozjaśni twarzyczki chłopców. A w wilję, kiedy pierwsza gwiazdka zabłyśnie na niebie, z rozradowanych serc chłopięcych popłynie do stóp Bożej dzieciny modlitwa za młode dobrodziejki. — I wzniesie Jezus rękę, błogosławiąc tym, co okazali serce maluczkim, a przyszłym jego sługom.

Adres: Pniewy wielkopolskie, Zakład św. Olafa, SS. Urszulanki Konającego Serca Pana Jezus.

393. Limba do gawędziarek. Od dawna marzyłam już, aby się dostać do Waszego grona i wspólnie z Wami pogawędzić, lecz niestety marzenia me spełzły zwykle na niczem. Podobają mi się bardzo Wasze konwersacje i mam nadzieję, że mnie chętnie do nich przyjmiecie.

394. Szarotka do Loczka. Ponieważ gawędy w „Dziś i Jutro" są bardzo ciekawe i zajmujące, postanowiłam i ja wziąć w nich udział. Nie znam jeszcze Gawędziarek, bo piszę pierwszy raz, ale sądzę z ostatniego Twego tematu, że jesteś częściowo marzycielką, więc rzucam ci pytanie: czy lubisz muzykę? — Poruszmy ten temat.

395. Szarotka do Gawędziarek. Prawdopodobnie przygotowujecie coś na gwiazdkę dla biednych dzieci. — Co robicie dla nich? Może zechciałybyście podzielić się Waszemi pomysłami i napisać o tem w Gawędach.

396. Czarne Oczko do Fiołka leśnego 376. Zdaje mi się, że niema osoby, którąby nie miała powierniczki swego serca. Nawet najgorszy charakter przez uczucie przyjaźni uszlachetnia się. Coprawda, rzadko spotyka się dobrane przyjaciółki i przyjaźń bywa często nietrwała, bywa płomykiem, który lada podmuch wiatru gasi.

397. Czarne Oczko do Potoczka leśnego 384. Niestety, jestem zaledwie Aspirantką do „Dzieci Marji", lecz mojem marzeniem jest być chociaż godną Aspirantką. A Ty w jakiej jesteś kongregacji?

398. Czarne Oczko do Trójki 386. Nie wiem dlaczego bardzo mi się podobacie. I ja nie lubię tych sentymentalnych westchnień i z całego serca przyznaję Wam rację.

399. Czarne Oczko do Mimozy 389. I ja szalenie lubię chwytać różne fale. Czy lubisz walce Straussa z Wiednia? Śliczne są także koncerty z Berlina. Zdaje mi się, że żaden Radjo-amator nie lubi szmeru, bo to szalenie przeszkadza.

400. Prymulka do Loczka i Czarnego Oczka 381. Chętnie godzę się należeć do „Hultajskiej trójki", tembardziej, że znamy się bardzo dobrze; nieprawdaż? Czemu to „Czarne Oczko" nie odpisało mi na moje listy?

401. Błędny Ognik do Trójki 386. Myślę, że do waszegu pseudonimu, należy dodać jeszcze „hultajska". Podoba mi się wasza wesołość; macie rację!! Śmiejmy się teraz, kiedy jesteśmy młode, pełne życia i energji i póki możemy się śmiać.

402. Błędny Ognik do Rycerki Złotego Serduszka 374. Z tego co piszesz, widzę, że jesteś Harcerką, „z krwi i kości". Zazdroszczę ci tego z całego serca, jak i wszystkie moje koleżanki. U nas drużyny niema, a wszystkie palimy się do Harcerstwa. Mam jednak nadzieję, że z czasem marzenie nasze ziści się.

403. Błędny Ognik do Gawędziarek. Przysyłam wam wszystkim trochę spóźnione „buzi" i proszę. abyście nie zapominały o „Błędnym Ogniku". Czy Fiołek Leśny nie zechciałby coś do mnie napisać? Tematu o szczęściu jeszcze nie wyczerpałyśmy. Pamiętasz? Niech też Loczek i Czarne Oczko zechcą „pogawędzić" z Błędnym Ognikiem, bo domyślam się kim jesteście. Może choć jedna z Was pamięta przezwisko „Antek". Czy zgadłam?

404. „Dobrze" do Trójki 386. Nie rozumiem jak można było naszym, tak prawdziwie naszym Gawędom zarzucić to, że przebija się w nich styl barokowy. Czyż dążenie do piękna w wypowiadaniu swych myśli można nazwać barokiem? Chyba nie — a jestem pewna, że wielu z tych, które brały udział w dotychczasowych gawędach, chodziło o piękną formę, w której mogłyby wypowiedzieć swe zdanie, co do poruszanych tutaj kwestyj. A jeśli czasami znajdują się pewne braki w stylu, to trzeba mieć to na uwadze, że przecież do Gawęd piszą dziewczynki nietylko z wyższych klas gimn., ale i młodsze, które jeszcze nie mogą posiadać wyro-

bienia stylowego; piszą tak, jak umieją najlepiej i według mnie najładniej, bo prawdziwie; nie wiem, czy się zgodzicie z mojem zdaniem, ale napisałam tych kilka słów „obrony“ dlatego, abyście wiedziały, że jednak nie każda z gawędziarek myśli tak, jak wy.

405. Loczek do Anielki 391. Piszesz, że często że mną rozmawiałaś o szczęściu. Zdradź proszę inicjały swego nazwiska, lub chociaż, gdzie o tem ze mną rozmawiałaś, a odpowiem Ci na ostatnie pytanie. Czy nie jesteś przypadkowo moją „Olą“? Sądzę, że jeżeli nią jesteś, mnie, jako dawnej przyjaciółce choć „coś“ powiesz.

406. Loczek do Potoczka leśnego 388. Niestety, powinnam być w Twojej klasie, lecz z przyczyn zupełnie odemnie niezależnych, musiałam wrócić do „starej“ klasy. Czy znasz mnie może? Napisz. Chętnie z Tobą pogawędzę.

407. „Hejże-ha“ do „Trójki“ 386. „Wesoła Trójko“, najzupełniej zgadzam się z Twojem zdaniem. To prawda, że nasze Gawędziarki za często bujają po obłokach i wysilają się na piękną formę swych listów o treści idealnej, zabarwionej sentymentalizmem.

Jeżeli chcecie nadać inny ton naszym pisemnym porozumieniom, to zapoczątkujcie nowy kierunek, Niech będzie realniejszy, ale zawsze hołdujący prawdzie i pięknu.

CZEŚĆ WAM POWSTAŃCY!

Pośród jesiennej, nocnej zawieruchy,
Wziąwszy do ręki szuble i sztandary,
Poszliście razem w odmęt walki głuchy,
By bronić świętej Ojczyzny i Wiary.

A żeście byli jak błędni rycerze
I jako niebios błękitnych posłańcy
I życie swoje nieśliście w ofierze —
Cześć Wam Powstańcy!...

Wyście walczyli, jak orły o gniazda,
Jak orły dzielnie wyście szli w bój krwawy,
A tylko jedna świeciła wam gwiazda —
Gwiazda wolności wśród szarej kurzawy.

Więc żeście byli i losem smagani,
Żeście z rozpaczą bronili swych szańcy,
Ginąc bez sławy i ginąc więźniami —
Cześć Wam Powstańcy!

Szliście wpatrzeni hen! w niebios błękity,
Szliście do celu bez jutra jutrzenki,
Szliście przez ciernie, przez boje na szczyty,
A bodźcem dla was były braci jęki.

Więc, że tonęliście w krwi swej purpurze,
W młodości marli, jak śmierci skazańcy,
Z pieśnią na ustach szli przez walki burze,
Cześć Wam Powstańcy!

Maryla Tomaszewska
ucz. kl. VIII. Gimn. SS. Urszulanek w Tarnowie.

ZŁOTE MYŚLI.

„Pięknem jest słońce, pięknym jest kwiat, piękną jest sztuka — pięknym jest lot myśli ku prawdzie! lecz najpiękniejszem ze wszystkich zjawień świata jest serce człowieka, gdy kocha, cierpi, poświęca się i... przebacza! *Orzeszkowa.*

SPROSTOWANIE.

W numerze 19-tym „Dziś i Jutro“ w artykule zatytułowamym „Miś“ zakradła się pomyłka: Napisano bowiem, że szwy należy wywrócić „na zewnątrz“. Przypuszczam, że nasze Czytelniczki już się zorjentowały, że nawet „Miś“ musi mieć szwy na wewnątrz zwrócone.

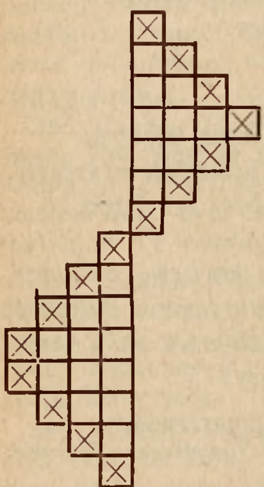
ŁAMIGŁÓWKI.

ŁAMIGŁÓWKA

(ułożył G. B.).

Rozwiązania nadsyłać można do 1 grudnia.

Kratki oznaczone krzyżykami dadzą tytuł powieści H. Sienkiewicza.



1) Spółgłoska. 2) Egipski bóg słońca. 3) Jeden z przyjaciół Mickiewicza. 4) Zbiór wody. 5) Liczebnik. 6) Rodzaj glinki. 7) Samogłoska. 8) Spółgłoska. 9) Zaimek osobowy napisany odwrotnie. 10) Inaczej wąwóz. 11) Choroba. 12) Napój. 13) Przyrząd sportowy. 14) Przyimek. 15) Samogłoska.

*

„MAZUREK“!

Kto ułoży z liter wyrazu „mazurek“ inne wyrazy siedmioliterowe — ten dostanie za każdy wyraz 7 punktów. Za złożenie wyrazu z 6-ciu liter — 6 punktów i t. d. Rzeczowniki muszą być jednak użyte w pierwszym przypadku, a jeśli to będą czasowniki — można je stawiać w dowolnym czasie i osobie. Kto zyska największą ilość punktów, ten dostanie książkę w nagrodę. Termin nadsyłania odpowiedzi: 15 grudnia.

*

ZAGADKA

Które drzewo jest synonimem więzienia?

TREŚĆ Nr. 20.

Warunki prenumeraty „Dziś i Jutro“: Kwartalnie 3 zł., półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 zł. — W Ameryce 2 dolary.

Za dodatek **„Mój Światek“** prenumerujący „Dziś i Jutro“ dopłacają tylko zł. 1·20 za abonament do końca 1927 r.

Adres Redakcji i Administracji: **Kraków, ulica Starowiślna 3.** — Konto P. K. O. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.